

Charlie Chaplin widziany oczami Kazimierza Wierzyńskiego

Znakomity poeta opowiada o swej wizycie u wielkiego mistrza ekranu



Kazimierz Wierzyński.

— Hallo, co słyhać? Nad czym się pan tak męczy? — grzmi nademną stentorowy głos Kazimierza Wierzyńskiego.

— Nie nad czymś, lecz nad kimś. Nad właścicielem giętkiej łaseczki, olbrzymich buciurów, kępki włosów pod nosem i czarnego melonika. Tyle już kilogramów papieru nawypisywano o tym przedziwnym człowieczku, nazwiskiem Chaplin, że w rezultacie, zamiast pożytku, ma się z tego wszystkiego kompletny chaos sprzecznych wiadomości, mętlik pojęciowy i plotkarski bigos. Jedną z naszych czytelniczek naprz., mieszkającą przez czas pewien w Ameryce, nadesłała nam list, w którym twierdzi, że Chaplin jest strzeżony i pilnowany stale w swoim domu przez sanitariuszy — że wobec tego jest warjatem... i że...

— Nie przez sanitariuszy — przerwuje poeta — ale przez domowników, którzy stale otaczają go niewidzialną opieką. I nie warjat — a poprostu człowiek, którego system nerwowy jest nadmiernie wyczulony skutkiem zbyt intensywnej pracy.

— „Pozatem, że podobno jest całkowicie łysy i nosi perukę.

— Co za amerykańska blaga! Ma taką czuprynę, jak pan lub ja — tylko, że trójkolorową.

— Jak pan powiedział? — Trójkolorową! — zahuczał Wierzyński. — Siwe włosy na skroniach, dalej rude, a na samym czubku głowy jasne.

— Prze... przepraszam, ale... na fotografiach tego nie widać, więc skąd pan może wiedzieć o tych dość intymnych szczegółach Chaplinowego uwiązienia?

— Skąd mogę wiedzieć? Na własne oczy to stwierdziłem!

— A więc pan z nim rozmawiał?

— I to nawet dosyć długo. Działo się roku pańskiego tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego, w Hollywood, California, U. S. A.

— Prawda, przecież pan odbył wielką podróż po Stanach Zjednoczonych.

— Przez pięć miesięcy. Między innymi zawadziłem w końcu czerwca o stolicę królestwa filmu i właśnie przy tej okazji poznałem pańskiego dzisiejszego dreczyciela — Chaplina.

— Czy to było przypadkowe spotkanie?

— Niezupełnie. Jechałem już do Hollywood z zamiarem poznania Chaplina i odrazu na dworcu zapytałem się o niego. Niestety, dostęp do wielkiego aktora był bardzo utrudniony, tak że narazie zrezygnowałem z tej zaszczytnej znajomości.

— Ale jednak dopiął pan swego?

— Dopomógł mi trochę traf, a najwięcej nader sympatyczna i dosyć liczna tamtejsza kolonia polska, wśród której spotkałem p. Janinę Smolińską, Bohdanę Gilewicz, b. artystę operetki warszawskiej, Kucharskiego - Raquello i in. Moje życzenie przypadło im widać bardzo do serca, skoro po pewnym czasie, będąc w gościnie u państwa Grabowskich, otrzymuję od pana Raquello te-

lefoniczną wiadomość, że Chaplin już na mnie oczekuje. W chwilę potem Raquello po mnie przyjeżdża swym samochodem i jedziemy pełną parą, a raczej pełnym gazem, na Beverley-Hills.

— To ta słynna dzielnica gwiazd?

— Tak jest. Wszystkie wille sław filmowych są tam pobudowane na pagórkach. Im wyższy pagórek, tem słynniejsza gwiazda.

— I co dalej?

— Więc — jedziemy! W pół godziny jesteśmy na miejscu, to znaczy na najwyższym chyba pagórku w Beverley - Hills. Dzwonek. Drzwi otwiera służący Filipińczyk o kolorowej skórze. Wchodzimy do obszernego hallu, gdzie odrazu rzucają mi się w oczy olbrzymie organy, na których Chaplin podobno grywa całymi nocami, co — jak mnie zapewnia mój towarzysz — stało się nawet jednym z ukrytych powodów głośnego rozwoju Chaplina z Litą Grey, której te organy działały na nerwy. Po chwili wprowadzają mnie do wysokiej jasnej sali w której na środku, przy dużym stole, siedzi jakaś skulona postać w białej pidżamie i w rannych pantoflach. Na mój widok postać ruszyła się z miejsca i — miałem nareszcie swoje upragnione „tete a tete“ z Chaplinem. Przywitał się ze mną serdecznie.

— Czy staro wtedy wyglądał?

— Bo ja wiem, mniej więcej na 40

chodzi, poczem rozmowa przeszła na szersze i ciekawsze tory. Chaplin rozprawiał z ożywieniem i był widocznie w wyjątkowo pogodnym nastroju ducha, bo twarze obecnych przy naszej rozmowie domowników i mojego towarzysza wyrażały miłe zdziwienie i przyjemną ulgę. Trzeba panu bowiem wiedzieć, że Chaplin jest jednak człowiekiem o rozstrojonych nerwach i że z tego względu panuje zwykle w jego domu nastrój jakgdyby sanatoryjny.

— Nie poraz pierwszy z genialnych ludzi robią warjatów. Ale słucham dalej.

— Dalej — gadu gadu. W pewnej chwili Chaplin zadaje mi pytanie: czy gustuję w t. zw. „talkiesach“? Odpowiadam z przekonaniem: nie! — i widzę, jak twarz mego interlokutora uśmiecha się z zadowoleniem. Naraz drugie pytanie: czy lubię Cecilia de Mille'a? Sposprzegam przerażone miny domowników, dających mi znać przeczącymi ruchami głowy, wobec czego twardym głosem bezapelacyjnie miazdżę Cecilia de Mille'a na miłąkłę proch i pył. Chaplin krasnziej z uciechy, poczem zaczyna mi pokazywać jak to jest, gdy się przychodzi do Cecilia de Mille'a z wizytą. Świetnie widać przedrzeźnia jego megalomańskie pozy, — obecni pokładają się ze śmiechu. Wogóle Chaplin jest prosty i krańcowy w swoich sympat-

wiersza. Chaplin zainteresował się tem najwidoczniej i rozpytywał o wrażenie, wyniesione z jego obrazów.

— Według mnie — z przekonaniem twierdzi Wierzyński — Chaplin dał nowe, zadziwiające ujęcie groteskowości bytu ludzkiego. Oto bierze biednego, szarego, zawsze przegrzającego w życiu człowieczka — i cóż z nim robi? Pozornie odziera go z tych serdecznych uczuć, jak litość i humanitaryzm, które normalnie mogłyby przypaść mu w udziale ze strony widza. Przydaje do jego niezczęść jedną kłeskę — mianowicie śmieszność.

Tymczasem ten ośmieszony aż do granic groteskowości człowiek przybliża się — właśnie dzięki współczynnikowi śmiechu — momentalnie do widza, staje się istotą tak bliską i kochaną, że zapomnieć jej nie możemy, że nazawsze pozostaje w pamięci. Chaplin rozporządza przytem kolosalnym zasobem ekspresji artystycznej, a metoda i środki wydobycia tej ekspresji są zupełnie nowe i nieznanne na całej dotychczasowej przestrzeni sztuki.

— Czy to znaczy, że — według pana — wielkość Chaplina polega wyłącznie na jego nowatorstwie artystycznym?

— Nie, tegobym nie powiedział. Z pewnością — przynaję, — że jest on najpierwszym z tych niewielu którzy kinematografię dźwigają stale na poziom sztuki. A swoją drogą, pewien jestem, że, żyjąc w innych zupełnie czasach i w innej dziedzinie sztuki — stworzyłby równie rzeczy genialne.

Mała przerwa — Wierzyński zapala papierosa.

— Ilekroć oglądam film z Chaplinem — podejmuję po chwili z ożywieniem — zawsze widzę iście franciszkańską postać apostoła dobroci i szlachetności, nowoczesnego apostoła — nawracającego świat śmiechem. I to moje widzenie Chaplina — altruisty starałem się wtedy w Hollywood samemu Chaplinowi wytłumaczyć, jak mogłem.

— Ciekaw jestem, czy też ten apostoł nie posiada jednak w sobie dużej dozy pesymizmu i zgorzknienia, czy nie patrzy na świat i na ludzi przez czarne okulary. Sądząc po takich filmach, jak „Półświatek paryski“, „Gorączka złota“, „Cyrk“ — niewiele radości życia musi być w Chaplinie.

— Mnie również — odpowiada Wierzyński — oddawna ciekawiły te sprawy. W dalszym ciągu naszej rozmowy nie omieszkałem ponuszyć tego tematu.

Przeszliśmy już wtedy do ogrodu — gdy Chaplin zaczął mi się zwierzać, że, idąc w lata, coraz mniej wierzy w dobroć człowieka.

Reformy społeczne, postęp — cóż z tego — powiada — gdy natura ludzka pozostaje niezmienna. Wiał z jego słów głęboki smutek i rozczarowanie do życia.

Spacerowaliśmy po prześlicznym ogrodzie, zalanym gorącymi promieniami kalifornijskiego słońca — gdy zacząłem gwałtownie oponować twierdzeniom Chaplina. Trudno — nie byłem wtedy usposobiony do wymyślenia na świat, wprost przeciwnie. Zresztą wkrótce zapomnieliśmy o gorzkości bytu ludzkiego. Chaplin zaprowadził mnie na swój kort tenisowy, a potem — byliśmy już po paru cocktailach — włączył w takie wielkie koło, — wie pan? — które Amerykanie używają do zabawnych wyścigów — i tacał się w niem ze śmiechem i wesółym krzykiem. Zaczęliśmy bawić się niestosownie do wieku i powagi ku wielkiej uciechu pielęgniarzy i domowników.

— A potem?

— Potem... po półtorej godziny, ku naszemu szczeremu żalowi wypadło się rozstać. Pożegnaliśmy się z wielką serdecznością. Aha, a na zakończenie

(Dokończenie obok, na str. 7).



Portret Charlie Chaplina z jego własnoręczną dedykacją dla znakomitego poety Kaz. Wierzyńskiego

lat. Wspomniałem już o pstrokacizmie, jego włosów, która wywołuje efekt osobliwy. Ozdobą tego człowieka jest piękny, niezwykle ujmujący uśmiech. Pod tym uśmiechem, jak pod słońcem, stopniały odrazu lody pierwszej konwencjonalnej wymiany słów, wymiany utrudnionej jeszcze przez moją nędzną znajomość, a raczej nieznaną angielskiego.

— Nie przypomnia pan sobie, o czym zaczął z panem mówić?

— O ile pamiętam, zaczął się odrazu usprawiedliwiać z tego, że jest nieogolony i nieubrany. Zapewniłem go naturalnie, że mnie to nic a nic nie ob-

jach i antypatjach, jak dziecko. Biedny Cecil de Mille — to widocznie jego stała „bete noire“ i kozioł ofiarny.

— Krańcowość jest również cechą wielkich ludzi, a zwłaszcza artystów. Ale znów panu przerwałem, a pałam z ciekawości.

— Po epizodzie z Cecilem de Mille — nastrój świetny. W dalszym ciągu rozmowy zesłaliśmy jakoś na pozę. Opowiadałem więc Chaplinowi, że napisałem wiersz p. t. „Film“, gdzie postać jego jako motyw powtarza się dwukrotnie. Przy pomocy p. Raquello próbuję na usilne żądanie Chaplina wytłumaczyć mu treść tego

■ 6 ■

Charlie Chaplin widziany oczami K. Wierzyńskiego

(Dokończenie)

Chaplin obiecał mi i dał na to słowo honoru, że przy najbliższej podróży do Europy musi odwiedzić Polskę, o której mu zresztą dużo opowiadali jego dobrzy znajomi: Pola Negri i Ryszard Ordyński. Aby mi dowieść swojej wiedzy o Polsce, wymówił nawet „Krakowskie Przedmieście“, ale z tak komicznym akcentem, że wyszedłem od niego zaśmiewając się na

cały głos.

— A nie dostał pan od Chaplina jakiejś pamiątki?

— Owszem, fotografię z dedykacją. No, teraz — koficze, lecz mam nadzieję, że jakoś pan wybrnie z tej Chaplinady...

Wybrnąłem....

Władysław Brun

